

Jakież wstyd...

„Oni chrzanią te głupoty, bo już trudno to inaczej powiedzieć, o tym, że my teraz przez takie gesty zbudujemy polską suwerenność” - krzyczał w minioną niedzielę w Białymstoku Szymon Hołownia, odnosząc się do wyroku Trybunału Konstytucyjnego orzekającego o wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym. I dodał: „Jaką suwerenność? Od kogo będziemy wtedy pożyczać pieniądze? Od Chin? To będzie ta suwerenność?”.



O obelgach, wyzwiskach kierowanych w stronę TK po wydanym przezeń orzeczeniu napisano i powiedziano już bardzo dużo. Niedzielna demonstracja zwołana przez niedysyjszego „króla Europy” Donalda Tuska, podczas której straszono Polaków zideologizowanymi sądami i okropnymi pisorami, chcącymi rzekomo wyprowadzić nasz kraj z Unii Europejskiej i cywilizacyjnie ulokować Polskę gdzieś pomiędzy Mongolią a Chinami, stała się kwintesencją sposobu myślenia ludzi określających siebie mianem „elity”. Mieliśmy czas przywyknąć do krzyków, ordynarnych przekleństw, autorytetów miotających na lewo i prawo słowa „...e”, „wyp...ać” itp. Mnie osobiście rzucająca się na policjantów „babcia Kasia”, wulgarna „ruda z KOD” czy prząsny w sposobie opisu rzeczywistości Włodek Frasiński już nie poruszają, nie złoszczą - co najwyżej śmieszą, budzą litość.

Co ciekawe, nie widać było w niedzielę na placu Zamkowym osób ubranych w koszulki z napisem „konstytucja”, bo przecież w tym konkretnym dniu przyszli opowiedzieć się dokładnie przeciwko niej. Byłyby więc niewygodne. Nie wyklucza to, rzecz jasna, sytuacji, że kiedy trzeba będzie zrealizować kolejny polityczny cel, ponownie je założą i będą zażarcie bronić ustawy zasadniczej. „Bo nie liczy się prawda, ale skuteczność” - tłumaczył swego czasu Czerepach w serialu „Ranczo”. Liczy się kasa, pełna micha. „Co tam suwerenność!” - krzyczało na wiecu w Białymstoku „cudowne dziecko” TVN Szymek Hołownia. „Od kogo będziemy wtedy pożyczać pieniądze? Od Chin? To będzie ta suwerenność?”.

A ludzie klaskali. Tak samo, jak niegdyś na zjazdach PZPR, kiedy mówiło się o przewodniej roli partii, dożgonnej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Co tam wolność...

Jurgieltnicy

„Co nam hańba, gdy talary mają lepszy kurs od wiary! Wymienimy na walutę honor i pokutę!” - śpiewał przed laty

Jacek Kaczmarski. Zapewne nie przypuszczał, jak bardzo te słowa staną się aktualne w pierwszej ćwierci XXI w.

Ciekawe, że w historii wszystko już było - może dlatego nazywana jest „nauczycielką życia”. „Ulica i zagranica” jako oręż przeciwko własnemu narodowi, donoszenie obcym mocarstwom na własny kraj - także. W imię kompleksów, irracjonalnego lęku, że ktoś może zakręcić kurek z kasą, pozbawić europejskich urzędów i że... nie będzie od kogo pożyczać pieniędzy. Tradycja „judaszowych srebrników” ma się w naszej ojczyźnie dobrze. Od wieków. Podobnie jak obecność jurgieltników, którzy, jako żywo, przypominają dziś nam rodzimych „Europejczyków” pluających na Polskę.

Cóż to takiego był jurgiel i kim byli jurgieltnicy? Jurgiel była to regularnie wypłacana przez zagranicznego mocodawcę pensja dla polskiego dostojnika, urzędnika, czasem nawet zwykłego szlachcica, która zapewniała jego uległość i powolność w sprawach ważnych dla płacącego. Upowszechnił się w Polsce w dobie saskiego upadku, a więc począwszy od początku XVIII w., wraz z rządami Augusta II. Do najsłynniejszych jurgieltników - w szerokim znaczeniu, czyli nie tylko pobierających wynagrodzenie, ale czerpiących ze zdrady zyski w postaci dóbr lub urzędów - należeli Adam Poniński, Hieronim Radziejowski (przewodnik Szwedów podczas potopu, uwieczniony w powieści przez Henryka Sienkiewicza) czy Szczęsny Potocki (jeden z przywódców Targowicy).

Uprzejmie donoszę

Historykom udało się odnaleźć list jednego z nich (poważanego w sferach magnackich, trudniącego się również publikowaniem tekstów publicystycznych), pobierającego pensję zarówno od dworu rosyjskiego, jak i od austriackiego, a w pewnym okresie nawet pruskiego. List, pisany po francusku i przeznaczony do publikacji jako broszura, skierowany jest do carycy Katarzyny II. Powstał w roku 1768, a więc w chwili

powołania konfederacji barskiej. Cóż takiego „uprzejmie donosi” zatroskany o los ojczyzny jurgieltnik? „Oburzenie cywilizowanych krajów na polską ciemnotę w zupełności rozumiem. Jesteśmy w Europie wielką rodziną. To normalne, że krewni reagują, gdy ktoś remuś z bliskich dzieje się coś złego, że sprawdzają, co się z nim dzieje, pomagają. I że w sytuacji, gdy krewny zachowuje się źle, słyszy napomnienia. A gdy je ignoruje, stają się one coraz bardziej ostre. Konfederaci wrogość do Rosjan mają pod skórą. Cokolwiek by się złego wydarzyło, winni będą właśnie oni. Teraz Polska potrzebuje solidarności, otuchy, moralnego wsparcia. Dlatego proszę Waszą Cesarską Mość, aby nie milczała”.

Jak wiemy, „pokorne błaganie” zostało niedługo wysłuchane. Przyszły rozbiory. W konsekwencji Polska na wiele dziesięcioleci zniknęła z mapy świata.

Coś Wam, Drodzy Czytelnicy, te słowa przypominają? Błaganie pani Agnieszki Holland, wraz z opozycyjnymi europosłami, o ukaranie Polski blokadą eurofunduszy? Peany na cześć Europy i wstyd za „ten kraj”, niereformowalny i zacofany, nierozumiejący tęczącej różnorodności i uparcie trzymający się chrześcijańskiej tradycji?

Mój Boże, wszystko już było...

Oby historia znów się nie powtórzyła w pełnej rozciągłości.

Skąd się bierze współczesna pogarda?

Chwast został wsiany dużo wcześniej. Miał czas na to, by zakiełkować, rozrosnąć się. Dobrze ujął problem prof. Andrzej Nowak: „po roku 1990 zaczęto przekonywać polskie społeczeństwo, że jego historia była jakaś krzywa, niedobra, że trzeba się od niej odwrócić i patrzeć tylko w przyszłość. Należy oddzielić przeszłość grubą kreską i do niej nie wracać [...] Żołnierze Niezłomni broniący pamięci o niepodległości, tradycja dumy z etosu patriotycznego II RP zostały niezwykle ostro zakwestionowane przez pedagogikę wstydu, jaką od początku

Ciekawe, że w polskiej historii wszystko już było - może dlatego nazywana jest „nauczycielką życia”. „Ulica i zagranica” jako oręż przeciwko własnemu narodowi, donoszenie obcym mocarstwom na własny kraj - także.

swojego istnienia zaczęła stosować III RP”. Owa pedagogika wstydu stała się z czasem podstawowym narzędziem dyscyplinowania niczego nierozumiejących Polaków, przy czym ostateczny argument po dziś dzień (choć nie wypowiedziany wprost) zawsze pozostaje ten sam: „Co z tego, że macie zasady? My mamy pieniądze!”.

Witold Gombrowicz, tłumacząc się z „Trans-Atlantyka”, którego fragmenty ogłosiła paryska „Kultura” na początku lat 50 ubiegłego stulecia, pisał: „Cóż to znaczy, konkretnie mówiąc, Polska? Polska, to nasze życie zbiorowe, tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. Ale czyż nie były to wieki ciągłego rozpaczliwego szamotania się i zmagania z przeważającymi, wrogimi siłami, wieki chorobliwego, konwulsyjnego istnienia, wieki niedorozwoju? Czyż więc «Polska» nie jest tworem niedoskonałym, słabym i żartem wszelkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym? Czy Polak nie jest obciążony dziedzicznie Polską, tzn. chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy, wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, zdolnym do maksymalnego napięcia wszystkich energii swoich w tak przełomowej, jak obecna, chwili naszego bytu, nie powinien on wypowiedzieć służby tej «polskości», która go dzisiaj określa?” („Wiadomości” nr 4, 1952 r.)

Czyż współczesna pogarda dla polskiej konstytucji, gotowość do sprzedania własnej suwerenności za „talary”, uparte twierdzenie, iż „polskość to nie-normalność” nie jest „wypowiadaniem służby” ojczyźnie, kwintesencją pogardy dla jej historii, milionów poległych za jej wolność - przy rechocie gawiedzi wymachującej tęczowymi i niebieskimi, gwiazdzystymi sztandarami?

Jakież wstyd, panowie i panie! Nic nie zrozumieliście. Jakież wstyd...